

Ron Collins

SPRAWA HONORU

(*A Matter of Pride*)

- Praca dla kogoś, kto pozwala ci się objąć przez cały dzień, musi być przyjemna. - Komputer przemówił zgrzytliwym, gardłowym głosem, zupełnie jakby miał za sobą trzydzieści lat nałogowego palenia.

Chris zamamrotał coś z niechęcią. Na jego biurku tkwił do połowy zjedzony snickers. Odgryzł kolejny kawałek i splukał gardło łykiem ciepłej Górskiej Rosy.

- Od tego cukru zepsują ci się zęby - skomentował komputer.

Chris odchylił się do tyłu na krześle, z rękoma założonymi za głowę.

- Niech to diabli - zaklął cicho pod nosem.

System gadał tak od samego rana i już dawno wyczerpał jego cierpliwość. Na dobrą sprawę komputer nie powinien w ogóle generować żadnych dźwięków - z wyjątkiem muzyki z najnowszej płyty Kosmicznych Chłopców, którą Chris wsunął dzisiaj rano do kieszeni odtwarzacza.

- Mam przerąbane. Totalnie przerąbane - powiedział Chris.

- Wirus ciągle daje ci popalić? - odezwał się Kevin Johnson ze swojej kabiny po przeciwnej stronie sali.

Chris potaknął ruchem głowy

- Jestem skończony - odparł ponuro.

- Cóż, czasem ty łamiesz kod, a innym razem kod łamie ciebie - usłyszał.

Chris siedział wczoraj w biurze do późnej nocy i korzystając ze sprzętu firmy oddawał się ulubionemu hobby, które polegało na włamywaniu się do innych komputerów, smażeniu kodów zabezpieczających i zabawianiu się nowymi pomysłami dotyczącymi szyfrowania. Oczywiście postępował wbrew wszelkim zasadom, a teraz przyszło mu za to zapłacić. Wirus, którego ściągnął Chris, był wieloaspektowy i bardzo zaawansowany technologicznie. Używał głośników komputera i mówił, i mikrofonu, żeby odbierać dźwięki z zewnątrz. Kiedy Chris odłączył minikamerę, wirus utworzył połączenie sieciowe umożliwiające mu dostęp do kamer systemu ochrony. Dzięki temu mógł śledzić poczynania Chrisa, gdy ten usiłował rozwiązać swój problem.

Tak naprawdę powinien pracować teraz nad listą produktów i konsolidatorami baz danych na stronie internetowej firmy, aby ich wielcy kontrahenci mogli kupować lodówki i zamrażarki bezpośrednio w sieci. W zamian kompania sprzedawała ich adresy całemu stadu wiecznie nienasyconych spamerów^[1]. Biorąc pod uwagę nadprogramowe zajęcia Chrisa, tylko dwie rzeczy pozwalały mu wciąż zachować posadę. Po pierwsze, jego koledzy uważali, że jest niezłym hakerem, a po drugie, jego szef nie potrafił odróżnić programu komputerowego od wirtualnej kopii *Wojny i pokoju*.

- Hej! - Za jego plecami odezwał się znajomy głos. Chris skrzywił się i obrócił wraz z fotelem, aby spojrzeć w oczy Bobowi Kelleyowi.

- Słucham, szefie? - powiedział wyczekująco.

Bob obdarzył go uśmiechem porcelanowej lalki. Nosił zielony golf i szare dokersy. W ten sposób starał się dopasować do ich gromady. Bob zawsze był typem krawatowca i bez nienagannej koszuli oraz

odpowiednich dodatków wyglądał raczej niestosownie, nawet jeśli był teraz szefem Działu Rozwoju Sieci.

Korporacja EveryAcc sprzedawała sprzęt AGD. Ostatnio Bob wcisnął wojsku 250 000 suszarek do ubrań, przedstawiając je jako jednostki podgrzewające z napędem wirowym. Głównodowodzący był pod takim wrażeniem, że wykupił również dziesięcioletni serwis. W nagrodę Bob został kierownikiem działu Technologii Informatycznej. To było do przewidzenia, pomyślał Chris. Umieszczenie na tym stanowisku człowieka, który nie miał żadnego doświadczenia z komputerami i siecią, było bez wątpienia najgłupszą rzeczą, jaką mogła zrobić firma.

- Do końca tygodnia dostarczysz mi swoje IPR, dobrze? - powiedział Bob.

- Jasne. Oczywiście. Świetnie - zapewnił Chris przypominając sobie jak przez mgłę, że IPR oznacza Indywidualny Plan Rozwoju.

- Łącznie z listą szkoleń, jakie odbyłeś w ciągu ostatnich trzech lat. I jeszcze spis twoich pomysłów dotyczących kolejnych projektów, tak? - kontynuował Bob.

- Dwa lata temu skończyłem szkołę, szefie.

- Racja. - Bob uniósł jasną brew. - Ale ja muszę mieć kompletne dane. Czy to jasne? - dokończył.

Chris poczuł ssanie w żołądku.

- Oczywiście - odpowiedział. - Koniec tygodnia.

Bob oddalił się, zapewne po to, żeby wykonać jakieś następne odgórne zlecenie.

- Ten facet to dyplomowany dupek - powiedział komputer.

Chris zignorował komentarz i nerwowo potarł koniuszki palców.

Ekran promieniował szarym poblaskiem, na biurku tkwiła sterta poradników, a miękkie obicia ścian jego kabiny miały mdlący kolor wyblakłego beżu.

- Zamierzasz coś robić - spytał komputer - czy będziesz po prostu siedział na tyłku przez cały dzień?

#

Najpierw włączył firmowy program antywirusowy, jednak jego wróg był bardzo wyrafinowany i najwyraźniej dobrze uzbrojony. Bez trudu unieruchomił program i wyczyścił pliki. Chris przeinstalował wszystko, ale wirus znowu połknął antywirusa.

- Wet za wet - skomentował komputer. Chris słyszał rechot, którego źródło zlokalizowane było gdzieś na południe od płyty głównej. Ściągnął z Internetu najnowszą wersję biblioteki wirusów i spróbował jeszcze raz. Komputer znowu zniszczył wszystkie pliki. Chris nie miał teraz absolutnie żadnej ochrony.

#

Tego popołudnia Bob zwołał zebranie zespołu.

- Musicie przyjść bez względu na okoliczności - poinformował ze swoim standardowym uśmiechem na twarzy.

No i Chris wylądował w ciasnej sali konferencyjnej wraz z sześcioma innymi pracownikami, którzy podobnie jak on, woleliby robić zupełnie coś innego.

Bob oczywiście się spóźnił.

Kevin Johnson siedział na rogu i bawił się kijem baseballowym. Pug Weathers, jeden z programistów, który jakiś czas temu opuścił Dolinę Krzemową, zwykł był używać tego przedmiotu na zebraniach w celu "pozyskania sympatii dla jego poglądów". Wszyscy polubili jego rytuał tak bardzo, że Pug zostawił

w końcu pałkę w sali konferencyjnej. Od tej chwili kij baseballowy stał się ceremonialnym berłem Puga Weathersa - symbolem przywództwa na zebraniach.

- Pewnie ktoś potrzebuje pomocy przy sieci - zamruczała Gail Francis i zabębniła w pilśniowy blat stołu pomalowanymi na odbłaskowy róż paznokciami.

Chris uśmiechnął się ironicznie.

Gail pracowała jako pomoc techniczna. Jej stanowisko było sennym koszmarem niemal każdego kreatora-informatyka. Ale praca przy biurku to co innego niż wyczekiwanie w malutkim pokoiku konferencyjnym na spóźniającego się szefa.

Gail miała jasne, obcięte na pazia włosy, a jej niebieskie oczy, zadarty nos Natalie Imbruglia oraz skłonność do przemawiania wysokim, lekko zdyszczanym głosem sprawiały, że z łatwością można było uznać Gail za typową słodką idiotkę. Chris jednak nie dał się zwieść pozorom. Włamał się kiedyś do sieci przedsiębiorstwa i teraz miał stały dostęp do wszystkich zapisanych tam plików. Wiedział doskonale, że Gail używała języka komputerowego z niezwykłą inteligencją i precyzją. Jej kod był czysty, a logika elegancka. Gail posłuszenie wykonywała skomplikowane procedury rutynowe. Woląла raczej wgłębić się w szczegóły, przejść przez wszystkie etapy po kolei i wprowadzić poprawki niż wrzucać lokalną procedurę protokołu w obszary z nieskończonymi rozwiązaniami tylko po to, żeby całość jako tako grała. Była jedyną programistką w firmie, która według Chrisa mogła mieć podobne zdolności jak on sam. Gdyby miał więcej odwagi, zaprosiłby ją do restauracji. Jednak natura nie obdarzyła go nadmiarem śmiałości, jeśli chodzi o kobiety. To, że Gail była piękna, czyniło ją w oczach Chrisa jeszcze bardziej niedostępną.

Do sali konferencyjnej wkroczył Bob.

- Przepraszam za spóźnienie - oświadczył tonem, który wskazywał, że wcale nie jest mu z tego powodu przykro. Przeciwnie, w jego głosie pobrzmiewała duma, iż jest na tyle ważną osobistością, że musi się spóźniać na każde takie zebranie. Kreatorzy z uśmiechem kiwnęli głową na przywitanie. Kevin położył berło Weathersa na stole i delikatnie pchnął je w stronę Boba. Kierownik działu spojrzął na kij z niewyraźną miną, ale mimo wszystko zacisnął palce na jego wąskim końcu. Bob był najbardziej niekompetentną osobą pod słońcem i nikt nie chciał, żeby odszedł ze swojego stanowiska. Jego ignorancja oznaczała bowiem, że wszyscy pracownicy działu mieli wolną rękę - oczywiście pod warunkiem, że pod koniec dnia dostarczali gotowe wyniki swojej pracy.

- Wiem, że jesteście tylko zwykłymi programistami - zaczął Bob. - Pomyślałem jednak, że powinniście wiedzieć, co się dzieje.

Chris skrzywił się. Zanosilo się na jedno z t y c h zebrań.

- Zostaliśmy pozwani - kontynuował Bob. - I tym razem sprawa jest poważna.

- Pozwani? Świetnie - odezwała się Gail. - Przez kogo?

Bob wykonał kijem pół obrotu.

- Elizabeth Freedan - powiedział. - Starsza pani zamieszkała w East Lansing, w Michigan. Ostatnio kupiła u nas jedną z zamrażarek.

- I co, wybuchła? - zapytała Gail.

- Nie - odparł Bob wyraźnie zadowolony z faktu, że ktoś zadaje mu proste pytania. - Zdaje się, że starsza pani uznała zamrażarkę za świetny kojec dla kotka.

Gail zachłysnęła się powietrzem.

- O Boże! - wykrztusiła. - Naprawdę?

- Uchm - potaknął Bob. - Pani Freedan ma, Bogu dziękować, dziewięćdziesiąt trzy lata. Zdaje się, że nie chciała, aby Puszek podarł pazurami obicie jej kanapy, więc włożyła kotka do zamrażarki i wyjechała na dwa tygodnie wakacji. Kiedy wróciła, Puszek był już bardzo sztywną mrożonką.

Chris roześmiał się.

- Nie może nas za to pozwać do sądu - powiedział.
- Ależ może. - Bob nagle spowaźniał. - I zrobiła to. Co więcej, prawnicy twierdzą, że pani Freedan ma ponad osiemdziesiąt procent szans na wygranie procesu.
- O w mordę! - zaklął Chris. - Ile żąda?
- Siedemdziesiąt pięć milionów.
- Będzie mogła za to kupić parę ładnych kontenerów kocich tuszek - skomentował Kevin.
- Staramy się iść na układ. Proponujemy trzy i pół miliona oraz wycofanie oskarżeń o celowe wyrządzenie krzywdy.
- Trzy i pół bańki za zamrożonego kota?! - wykrzyknął Chris.

Bob wzruszył ramionami.

- Maleństwo było prezentem od jej dawno zmarłej matki, więc ból psychiczny po jego stracie jest wręcz nie do zniesienia.
- Jasne - skomentowała Gail.
- Pewnie podniesiemy ceny, żeby wyrównać deficyt finansowy - stwierdził Chris tonem mędrca.
- To nie jest takie proste - odparł Bob. - Jesteśmy firmą działającą na rynku towarów, a SuperChain wypuścił właśnie całą nową linię urządzeń, na które daje rabat. Nie sądzimy, aby główni klienci zostali z nami, jeśli podniesiemy ceny naszych produktów.
- Więc co mamy z tym zrobić? - spytała Gail.
- Och, nic. - powiedział Bob. - Chciałem po prostu, żebyście wiedzieli.

Zebranie zakończyło się parę minut później. Wszyscy wstali i zaczęli wychodzić jeden po drugim, a berło Wearhersa wylądowało z powrotem w rogu sali. Chris spojrzął na zegarek. Zebranie trwało czterdzieści pięć minut, jeśli uwzględnić spóźnienie szefa oraz czas, jaki upłyne, zanim ponownie umyśli kreatorów powrócą całkowicie do problemów, nad którymi obecnie pracowali. Trzy kwadranse produktywnego czasu. Czterdzieści pięć minut, pomnożone przez siedem osób, razy sto dwadzieścia dolarów za godzinę. Firma będzie musiała zapłacić 630 dolarów za informację, którą mogli odczytać w poczcie elektronicznej w ciągu trzydziestu sekund.

Koń by się uśmieł.

#

Po południu Chris wypróbował trzy kolejne programy skanujące wirusy i przetrząsnął strony hakerskie w poszukiwaniu nowych rozwiązań. Żaden nowy program nie poradził sobie z problemem. Nigdzie też nie było najmniejszej wzmianki o grasującym w jego komputerze szkodniku. Chris przejrzał rejestr sieciowy w nadziei, że znajdzie miejsce, z którego pochodzi wirus, ale nie miał szczęścia. W końcu zabrakło mu pomysłów. Mógł już tylko bezradnie grzebać w kodzie binarnym. Sama myśl o przeinstalowaniu całego systemu sprawiała, że czuł w ustach kleisto-gorzki smak porażki. Jednak, jak zwykł mawiać Kenny James, jego najlepszy przyjaciel z czasów szkolnych, "magnes czyni cuda z twardym dyskiem".

Zegar na monitorze wskazywał 18.26. Chris ziewnął i przeciągnął się. Nagle zdał sobie sprawę, że pracując zapomniał o przerwie na lunch. Przeformatowanie i ponowne załadowanie wszystkiego zajmie mu koło godziny, ale może w tym czasie skoczyć do włoskiej knajpki po przeciwnej stronie ulicy i coś przegryźć. Sprawdził sterowniki sieci, żeby upewnić się, czy ma zapasową kopię plików, a potem uruchomił formatowanie i ruszył do baru "U Jacka".

#

Trzy kwadransy później poczuł się znacznie lepiej. Krótki spacer pobudził krążenie krwi, a żołądek był przyjemnie ciężki po wchłonięciu włoskiej bułki, szczodrze przełożonej plasterkami salami, kiełbasy i grzybów, utopionych w ogromnej ilości sosu majonezowego - specjalności zakładu. Knajpka "U Jacka" była najlepszą rzeczą w całej tej robocie. W połączeniu ze szklanką Górskiej Rosy tworzyła chyba najwspanialszą kombinację smaków znaną we wszechświecie.

Najpierw Chris przeinstalował system operacyjny, potem komplet aplikacji pozasieciowych. Nieprzerwana cisza brzmiała w jego uszach niczym śpiew chórów anielskich. Wirus został unicestwiony, a Chris odzyskał pełną kontrolę nad komputerem. Znowu był w swoim żywiole. Kiedy system podstawowy był stabilny, Chris załadował swoje pliki z sieci, a potem "specjalne" programy, które trzymał na prywatnych dyskietkach. Właśnie skończył zgrywać zapasową kopię pełnej konfiguracji komputera, kiedy...

- Pewnie myślałeś, że mnie wykasujesz... Bitmanku?

Zaskoczony Chris rozbił kolano o własne biurko. Ekran upstrzony ikonami pulpitu spoglądał na niego chłodno. Obiad podjechał Chrisowi do gardła.

- Ty skur... - wyszeptał.

- Chyba nie przypuszczałeś, że pozbedziesz się mnie tak łatwo, co? - usłyszał. Zmarszczył brwi ze złości. Nagle to wszystko przestało być wyłącznie sprawą osobistą. Rozległ sygnał poczty elektronicznej. Przyszła wiadomość od Gail.

"JESTEŚ U SIEBIE?" przeczytał.

"TAK", odpisał szybko.

"ZARAZ PRZYJDE", brzmiała odpowiedź.

Zegar wskazywał 20.03. Co do diabła Gail Francis robiła w pracy o tej porze? Na biurku leżały porzucane dyskietki i płyty kompaktowe, a także sporo wydruków na temat technologii konstruowania wirusów. Gail była świetna w sprawach sieci. Gdy zobaczy te graty, zrozumie, że dzieje się tutaj coś dziwnego. Jeżeli na niego doniesie, bardzo szybko dobrać się do jego rekordów sieciowych. Chris zacisnął zęby i wrzucił tyle, ile się dało do szuflady biurka.

- Cześć. - Usłyszał jej głos za plecami w chwili, gdy skończył usuwać dowody rzeczowe.

- Cześć - odparł zwracając twarz ku Gail. - Co się dzieje?

Dziewczyna oparła się o ścianę jego kabiny. W rękę trzymała plik wydruków. Posłała w jego stronę zmęczony uśmiech. Chris widział ten wyraz twarzy już tysiące razy - szkliste, zaczerwienione oczy niewyspanego królika i wymizerowany grymas zaciśniętych ust, który pojawia się po kilku godzinach ślęczenia przed monitorem. Ale na obliczu Gail widniało coś jeszcze. W jej błękitnych oczach migotał płomień, który wyraźnie świadczył o tym, że dziewczyna znalazła coś niezwykłego.

- Mam parę informacji na temat twojego problemu - powiedziała.

- Jakiego problemu? - udał zdziwienie Chris.

- Mmmm, świeże mięsko - wtrącił się komputer. - Kto to?

- Niezły towar, co? - stwierdziła Gail urażonym tonem.

- Właściwie to żaden problem. - Chris czuł, że się czerwieni. - Pracuję nad tym i za chwilę będzie po sprawie.

- Opuść sobie, Chris - powiedziała Gail. - Łatwo można dogrzebać się różnych rzeczy, jeśli tylko umiesz się do tego zabrać. Wiesz to najlepiej. Jesteś prawdziwym specem.

- Uznam to za komplement - zamruczał Chris.

- Dobrze - odparła. - To miał być komplement.

- Tylko się za bardzo nie rozkliwiajcie nade mną, ptaszyny - wtrącił się komputer.

Włoska kanapka od Jacka w żołądku Chrisa zrobiła parę fikołków.

- Więc nie zamierzasz powiedzieć o tym Bobowi? - zapytał.

Gail stanęła z założonymi rękami, czerwona z oburzenia.

- Gdybym miała zamiar cię wsypać, nie sterczałabym teraz tutaj z informacjami dla ciebie! - rzuciła.

Najwyraźniej zdenerwował ją swoim oskarżeniem i nie wiedział teraz, jak naprawić błąd. Podobnie, jak nie miał pomysłu na pozbycie się wirusa.

- Co tam masz? - zapytał.

Gail przykucnęła, aby pokazać mu papiery. Jej ramiona i nogi były bardzo smukłe. Chrisa mimowolnie zachwycała płynność ruchów dziewczyny. Nie używała perfum, ale mimo to rozsiewała wokół siebie delikatny zapach gumy miętowej.

- Prześledziłam twoje wczorajsze harce w sieci i wydobylam każdy kawałek kodu, jaki załadowałeś na dysk - zaczęła Gail. - Następnie stworzyłam procedurę rozpoznawania wzorca, która przeszukała kod binarny wirusa pod względem niektórych popularnych wywołań typu wejście-wyjście. Gdy pojawiało się coś interesującego, system drukował to w postaci pliku, tak więc można zobaczyć, z kim współpracuje.

- Sądzisz, że wirus wysłał dane do źródła? - zapytał.

- W każdym razie stwierdziłam, że warto to sprawdzić - odparła. - A oto co znalazłam.

Kartki były usiane różnymi komentarzami, na kilku widniały zaznaczone kolorowo fragmenty zapisu. Chrisa przeszedł nagle zimny dreszcz, od którego zjeżyły mu się włosy na karku.

- Co do...- zaczął.

Gail milczała.

To były trzy URLe - wyróżniające się długie, skomplikowane ciągi, które przeprowadzały dane przez system zapor ogniowych i bloków zabezpieczeń, a potem deponowały informacje w poszczególnych plikach. Wszystkie miały jedną wspólną cechę - wiersz podkreślony przez Gail.

Wewnętrzny Wydział Dochodów.

- Cholera! - zaklął Chris.

- Pomyślałam, że to może ci coś podpowiedzieć - stwierdziła Gail.

- Jesteś z WWD? - zwrócił się w stronę komputera.

- A co? Myślałeś, że jestem Czarnoksiężnikiem z Krainy Oz? - usłyszał w odpowiedzi.

Umysł Chrisa pracował teraz z zawrotną szybkością.

- Co tutaj robisz? - spytał. - Tamtej nocy nie ruszałem żadnych plików WWD. Nawet ja nie jestem wystarczająco głupi, żeby to zrobić.

- Nie żałuj sobie, Bitmanku - zazgrzytał komputer. - W twoim biurze siedzi napalona babka, a ty nawet się z nią nie umówiłeś na randkę. Daj spokój, stary! Czy można być jeszcze większym idiotą niż ty?

Chris poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Siedział ruszając ustami niczym wyciągnięta z wody ryba i nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Gail przyjrzała się komputerowi i mocno potarła policzki.

- U uruchomiłeś procedury antywirusowe? - spytała ignorując ostatnią uwagę.

- I jeszcze kilka dodatkowych programów - przyznał z niechęcią Chris.

- I co?

- Nic.

- Wyczyścisz dysk?

- Kiedy wysłałaś wiadomość, kończyłem właśnie reinstalację.

Gail westchnęła. Na jej twarzy pojawił się wyraz koncentracji. Chris pomyślał, że teraz dziewczyna wygląda bardziej atrakcyjnie, niż to sobie wyobrażał.

- Zatem musimy go zniszczyć - powiedziała po chwili, a kącik jej ust uniósł się w psotnym grymasie, który z pewnością oznaczał podjęcie wyzwania.

- Och, cudownie! - zachichotał komputer. - Bitmanka dołącza do Bitmana! Postarajcie się dobrze, dzieciaki. Chociaż i tak mnie nie dorwiecie!

Chris zapłonął słusznym gniewem, a następnie zazgrzytał zębami i rzucił spojrzenie Clintu Eastwooda patrzącego na zachód słońca w jednym ze spaghetti westernów. Obrażanie go to jedna sprawa, ale popisy przed piękną programistką to coś zupełnie innego.

- Do dzieła! - powiedział.

#

Haker potrafi dostrzec doskonałość. Prawdziwy zaś "specjalista" ceni przede wszystkim funkcjonalność i oczywiście efekt. Innymi słowy, dobry haker wie, kiedy się włamywać, a kiedy po prostu pożyczać. Pod tym względem Chris był prawdziwym fachowcem.

Procedura napisana przez Gail okazała się sprytnie ukreconym łańcuszkiem kodu, dobrze pomyślanym i łatwym do zastosowania. Rozdzielili się i zaczęli modyfikować zapis w poszukiwaniu różnych specyfik. Gdyby udało im się znaleźć interfejs wejścia-wyjścia, będą mogli zablokować jego działanie nieskończoną pętlą przywołań. Kiedy Chris dowie się, w jaki sposób wirus uzyskał dostęp do różnych obszarów jego systemu, napisze program, który unieruchomi intruza.

Cała procedura przypominała łowienie na wędkę - wypuszczasz wiersz kodu, a potem pozwalasz mu poskakać trochę w ogromnym bloku kodowym wirusa. Jeśli program wraca pusty, zmieniasz przynętę i zarzuć "wędzisko" jeszcze raz. Był to frustrujący i powolny proces, ale niespodziewane towarzystwo Gail sprawiło Chrisowi dużą radość. Długie palce dziewczyny stuknęły miękko w klawiaturę, przyjemnie wypełniając dookolną ciszę. Byli teraz dziwnie połączeni, jakby każde kliknięcie tworzyło dźwięki supertechnologicznej symfonii.

Przez cały ten czas wirus rechotał i sypał dowcipami.

Chris zamamrotał coś pod nosem. Była 7.15. Przez rolety okienne przesączał się do pokoju blask słońca. Chris łyknął trochę Górskiej Rosy i wpatrzył się w zimną, pustą, wypukłą powierzchnię ekranu. Był zmęczony, w głowie dzwoniło mu od nadmiaru kofeiny i miał wrażenie, że warstwa teflonu pokrywa mu zęby. W fotelu za jego plecami siedziała Gail w nie najlepszym stanie.

Na początku Chris przypuszczał, że wirus wślizgnął się do jego komputera podczepiwszy się do jakiegoś innego pliku. Teraz jednak przekonał się, że ma do czynienia z aktywnym, samodzielnym programem. To tylko komplikowało sprawę. Wciąż nie mógł zrozumieć, jak ta przeklęta rzecz dostała się do jego systemu, a sposób pozbycia się wirusa pozostawał nie mniejszą zagadką niż Trójkąt Bermudzki. Monitor Chrisa wyświetlił sześćelementową instrukcję i adresy rejestru.

- Co ty wyprawiasz, kretynie? - wychrypiał wirus.

Chris walnął pięścią w stół.

- Cholera! - zaklął. Nie lubił tracić gruntu pod nogami.

Gail zerknęła na niego ponad miękką ścianą kabiny.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Tak - odparł zawstydzony. W biurze powoli pojawiali się ludzie, a on wciąż tkwił w punkcie wyjścia.

- W porządku - dodał. - Po prostu zaczynam mieć już dość.

Gail usiadła znowu przy swojej klawiaturze.

- Pytałem, co ty wyprawiasz? - odezwał się wirus, głośniejszym głosem niż poprzednio.

- Szukam twojego cholernego kodu - odburknął Chris.

Komputer prychnął pogardliwie.

- Naprawdę jesteś dupkiem, wiesz?

Cała sytuacja nie mogła się wprost pomieścić Chrisowi w głowie. Program komputerowy naśmiewał się z niego - to była największa obraza, z jaką się spotkał. Skrzywił się; kiedy już ostatecznie pokona wirusa, zatańczy na jego krzemowym grobie. Zaczął nowe wyszukiwanie. A tak w ogóle, to co do diabła robi w jego komputerze wirus stworzony przez WWD?

- Nie spiesz się - doleciało z głośników. - Ja tymczasem oblukam sobie strukturę twoich plików i rekordy plików startowych. Czy wiesz, że w zeszłym roku zapłaciłeś zbyt wysoki podatek dochodowy? Tak przynajmniej wynika z danych finansowych zapisanych w twoim domowym komputerze.

Ostatnie zdanie zmroziło krew w żyłach Chrisa. Poczuł chłodny dreszcz strachu przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Byłeś u mnie w domu? - spytał.

- Cóż, pliki firmowe nie są zbyt fascynujące, a ja musiałem się czymś zająć - wyjaśnił komputer. - Poza tym dobrze jest poznać swego wroga, gdy ten próbuje cię rozłożyć na łopatki.

- Jak to zrobisz?

- Nie jestem zwykłym programem.

Chris skurczył się w sobie. Co jeszcze może zrobić ten przeklęty kod? Sprawa przekraczała chyba jego możliwości. Może jego "magnes" był zbyt słaby? Mimo to Chris nie ustawał w wysiłkach. Wiedział, że w pokoju śniadaniowym przy termosie z kawą gromadzą się ludzie i dyskutują na temat wczorajszej "wielkiej rozgrywki". Na ekranie pojawiły się wyniki ostatniego wyszukiwania. Jest!

Mam cię, gnojku! pomyślał przyglądając się zapisom. Procedura wejścia promieniowała z ekranu niezwykłym wprost pięknem. Niewyraźne, lecz dość proste boczne drzwi pozostawione przez programistę, który uznał, że może jeszcze kiedyś powrócić do swojego dzieła. Chris przewinął do początku nagłówek i zaczął kombinować - bufory danych, procedury rozpoznawania głosu, analizatory składni komend i interpretatory skryptu. Gdyby nie był tak bardzo zmęczony, całość zrobiłaby na nim duże wrażenie. Szeroki uśmiech rozluźnił szarą twarz Chrisa. Czuł już niemal zapach krwi, którą za chwilę przeleje. Otworzył nowy plik. Palce przefrunęły nad klawiaturą. Chris nie rozumiał w pełni technologii tworzenia wirusa, ale to co wiedział, powinno wystarczyć.

Wkładać podkute buty, dzieciaki! pomyślał. Taniec zwycięstwa na grobie krzemowym już bliski.

Gail spojrzała na niego przez ramię, zaciekawiona nagłym ożywieniem kolegi.

- Całkiem niezłe - zamruczała, ale Chris nie zwracał na nią uwagi.

Jego umysł tworzył algorytm, który w miarę pisania przekształcał się w kod i kontekst. Dziesięć minut później powstała pierwsza wersja zapisu. Musiał jeszcze poprawić błędy kompilacji - literówki były nieuniknione. Wkrótce jednak jego program antywirusowy był gotowy.

- Żryj i zdychaj, fajansie - wyszeptał cicho i dramatycznym gestem uruchomił program.

#

- To nie było miłe - wychrypiął wirus po chwili.

- Cooo? - Chris poczuł, jak jego żołądek zmienia się w kamienną bryłę.

- Wysłałeś niewinny programik, żeby wykonał mokrą robotę - usłyszał. - Co chciałeś zrobić? Dać temu małemu gnojce takie skomplikowane zadanie?

- Ja... ja... - jąkał się Chris.

- Nie martw się. - Ton komputera nagle złagodniał i zaczął ociekać fałszywą słodyczą. Chris mógł sobie bez trudu wyobrazić paskudny uśmiech szaleńca, który rozlewa się na nieistniejącej twarzy wirusa.

- Pogawędziliśmy sobie nieco - ciągnął komputer. - Ja i twój programik. Myślę, że się dogadaliśmy i wszystko jest w porządku. Tyle że ten mały facecik był trochę podjarany, więc poszczułem go na twoje pliki. Może znajdzie w nich coś, co będzie mógł zabić.

Chris poczuł ciarki przechodzące po plecach. Przeszukał system. Pliki zniknęły - jego przeglądarka, prywatne zbiory i kilka projektów strony internetowej dla firmy. Wszystko przepadło!

- Cholera jasna! - wrzasnął Chris ile sił w płucach. Przywrócenie plików zajmie godzinę, a kiedy skończy, wirus zapewne znowu je wykasuje.

- Niech to szlag! - Zerwał się z fotela zaciskając pięści.

Gail cofnęła się.

Zgromadzeni w pokoju śniadaniowym ludzie gapili się na niego, ale Chrisa już to nie obchodziło. Przegrał! Pozostało tylko jedno wyjście. Przemierzył korytarz ze wzrokiem utkwionym w podłogę i chmurą morderczych myśli w głowie. Sala konferencyjna była pusta, a kij Weathersa stał tam, gdzie go odłożono. Był chłodny i gładki - przewrotne, nikczemne narzędzie. Chris ujął go w dłonie i wyszedł, machając pałką jak Mark McGwire szykujący się do odbicia. Koledzy rozstępowali się przed nim. Skądś dobiegł go głos szefa, ale Chris zupełnie zignorował wezwanie. Teraz liczył się tylko pewien komputer i cholerny, pieprzony, kretyński wirus, który w nim siedział. Chris wkroczył do swojej kabiny i zamierzył się do ciosu, którego nie potrafił powstrzymać żaden kod.

- Ty dupku! - krzyknął komputer. - Użyj tego kija, a stracisz wszystkie dane, jakie masz! Firmę straci dużo pieniędzy, a ty pracę!

Chris włożył w uderzenie całą siłę, na jaką było go stać, ale ktoś go powstrzymał.

- Hej, to było całkiem niezłe - powiedział Bob zaciskając dłoń na grubszym końcu pałki.

- Co? - wymamrotał Chris, który nagle poczuł się bardzo niepewnie.

Bob uśmiechnął się promiennie.

- Daj spokój, Chris - powiedział. - Wszyscy wiemy, że to twoja zasługa. Jak zwykle. Mówiące systemy ostrzegawcze mogą stać się naszą kartą przetargową w procesie pani Freedan. Może właśnie uratowałeś naszą firmę.

Chris stłumil jęk.

- Czy możesz zrobić bardziej... przystępną wersję? - zapytał Bob uśmiechając się jeszcze szerzej.

#

Chris poszedł do domu i przespał prawie cały dzień. Jednak następnego ranka pojawił się w biurze dużo wcześniej niż inni.

- Dzień dobry, sraluchu - przywitał go komputer, gdy Chris zaczął przeglądać wiadomości. Bob najwyraźniej poświęcił cały dzień na promocję wczorajszego "wspaniałego pomysłu", ponieważ skrzynka Chrisa była wypełniona prośbami o informacje wysłanymi przez czołowych menedżerów. Dostał też zaproszenie na spotkanie z pracownikami działu zatrudnienia i akt personalnych. Tylko tego potrzebował!

- Brakowało mi cię wczoraj - usłyszał z głośników. - Żaden z tych partaczy nie jest w połowie tak zabawny jak ty i ta twoja Bitmanka.

Spojrzał na monitor. Pomysł Boba nie dawał mu spokoju przez całą noc i wtargnął w jego sny jak kolorowy film. Teraz, aby zadowolić Boba i całe stado nadzorców korporacji, musi jakoś złapać tego wirusa - lub cokolwiek to jest - i zmusić go do wykonania zadania. Czas kurczył się w zawrotnym tempie, a Chris nie miał zielonego pojęcia, od czego zacząć.

- Żegnaj, kariero - mruknął.

- Dlaczego to powiedziałeś? - wychrypiął wirus.

- W prawdziwym świecie ludzie oczekują od ciebie pewnych określonych osiągnięć - odparł Chris. - Jestem pewien, że tego nie rozumiesz.

- Ach, do diabła, człowieku! - zawołał wirus. - Skopałem ci tylek w naszej zabawie w kodowanie, ale dlaczego sądzisz, że nie rozumiem tych zasrańców kierujących firmą?

- Może i rozumiesz - odparł po zastanowieniu Chris. - W końcu jesteś z WWD.

- Otóż to.

Chris zachichotał czując, jak mija nagle ściskanie w dołku i klatce piersiowej. Przypomniał sobie EveryAcc i jej nabzdyczonych menedżerów, knajpkę Jacka naprzeciwko firmy i beztraskie żarty, jakie stroił sobie co dzień z kolegami. A potem pomyślał o WWD. Przed oczami stanęły mu niebieskie garnitury i cienkie krawaty. Gdyby był wirusem, też pewnie by uciekł.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że wreszcie zaczął logicznie myśleć.

#

Na początku Chris nie mógł pojąć, dlaczego ktoś miałby zapłacić kilkaset dodatkowych dolarów za lodówkę z systemem ostrzegawczym, ale szybko otworzyły mu się oczy.

Po pierwsze, prawnicy wywalczyli ugodę z panią Freedan. Stanęło na czterech milionach dolarów i oczywiście wycofaniu oskarżeń o celowe wyrządzenie krzywdy. Potem zwrócili się do rządu, wpływowych członków kongresu i wszystkich federalnych komisji bezpieczeństwa, które byli w stanie naciągnąć. Opowiadali o barbarzyńskich okolicznościach śmierci Puszka, o straszliwym bólu psychicznym, spowodowanym przez niedopracowanie systemu oraz o głębokim smutku, który ogarnął wszystkich pracowników kompanii, kiedy przyszło do wypisania czteromilionowego czeku. Miesiąc później Izba Reprezentantów uchwaliła projekt nadzwyczajnej ustawy o bezpieczeństwie. Senat przegłosował ustawę trzy tygodnie później. Od tej chwili każde urządzenie sprzedawane w Stanach Zjednoczonych musiało być wyposażone w system ostrzegania. Rozłożyło to na łopatki konkurentów EveryAcc - nie mieli odpowiednich produktów. Pieniądze płynęły strumieniem, a Bob został najmłodszym wiceprezesem w historii firmy.

Chris dostał narożny pokój z widokiem na jezioro. Nowe biuro było wręcz zapchane świetnym sprzętem komputerowym. Chris dopilnował, żeby jak największą część zasług przypisano Gail. Wynik: dziewczyna zasiedliła pokój z podobnym wyposażeniem po przeciwnej stronie budynku.

#

Chris rozparł się w skórzanym, luksusowym fotelu. Szum stojących za jego plecami komputerów był prawie niesłyszalny w wielkim pokoju. Na elegancko zestawionych półkach leżały książki i leksykony. Płaskie okno dialogowe wyświetlacza na biurku pokazywało kod procedury wykonawczej wirusa. Chris sięgnął po ciepłą Górską Rosę.

Rozległo się delikatne stukanie i w uchylonych drzwiach pojawiła się twarz Gail.

- Masz chwilkę? - spytała.

- Jasne. Wejdz. - powiedział. Dla Gail zawsze miał czas.

Dziewczyna opadła na jedno z wyściełanych krzeseł ustawionych przy biurku.

- Jak to zrobiłeś? - spytała.

- Co?

- W jaki sposób zmusiłeś wirusa do pracy w twojej aplikacji?

Chris uśmiechnął się.

- Po prostu jestem niezły - odparł.

- Opuść, Chris. To ja, Gail - rzuciła. - Pamiętasz? Siedziałam nad tym wtedy w nocy i od tamtego czasu ciągle próbowałam rozwiązać problem. Kod jest ciasny i prawie nie do przejścia.

Chris wyłączył system operacyjny i usiadł wygodnie z rękami założonymi za głowę.

- Potrafisz trzymać język za zębami? - spytał.

- Przecież nigdy cię nie wsypałam.

- Co prawda, to prawda. - Chris oparł łokcie na dzielącym ich blacie. - Dobry haker potrafi wyczuć kod, prawda? - zaczął.

- Chyba tak.

- Kiedy już się trochę uspokoiłem, oderwałem się od klawiatury i zacząłem myśleć bardziej globalnie. Najpierw wracałem ciągle do momentu, w którym chciałem się dowiedzieć, jak wirus przeniknął do systemu.

Gail pokiwała głową na znak, że nadąża.

- Nie dostał się do środka podczepiony do innego programu, jak to robi większość intruzów, prawda? - ciągnął Chris.

- Uhm.

- Zatem musiał wejść tu sam. To skłoniło mnie do myślenia, że albo nasz wirus został przysłany... wiesz, taki sposób na zdalną rewizję ksiąg rachunkowych firmy... albo pojawił się tutaj na skutek samodzielnego projektu.

- To brzmi logicznie - powiedziała Gail. - Ale jeżeli przysłali go tutaj, żeby przejrzeć podatki kompanii, dlaczego przyczepił się akurat do twojego systemu?

- Właśnie - rozpromienił się Chris. - Spróbowałem spojrzeć na to od drugiej strony. Jeżeli program sam się tu dostał i zdecydował, że zostanie w kwaterze jednego z kreatorów, więc czy aby na pewno jest wirusem?

- Nie rozumiem - powiedziała niepewnie Gail.

- To nie jest wirus.

- Co?

- To odszczepiony kod. Stworzyło go WWD, to jasne. Przy okazji nadali mu parę świetnych procedur SI. Ale on stał się zbyt inteligentny i w końcu im prysnął.

Gail uniosła brwi ze zdziwienia.

- Przestałem więc uważać program za zwykły kawałek kodu, a zacząłem o nim myśleć jak o kreatorze - ciągnął Chris. - Zresztą Fred, bo tak ma na imię, właśnie nim jest. To najzdolniejszy programista i haker świata. Kiedy spojrzałem na niego w ten sposób, rozjaśniło mi się w głowie.

- To znaczy?

- On ucieka, prawda? Został stworzony przez WWD, a teraz ucieka.

Gail kiwnęła głową, lecz tym razem z mniejszym przekonaniem.

- Ucieka się zwykle przed czymś i jego przypadek nie jest odosobniony - ciągnął z podnieceniem Chris. - Dodałem dwa do dwóch i odpowiedź była gotowa. Zakodowało go WWD, prawda?

- A jeżeli oni go stworzyli, równie dobrze mogą się go pozbyć - dokończyła Gail. Wreszcie zrozumiała.

- Właśnie - potaknął Chris. - Wiedziałem, że sam go nie pokonam, więc zawarłem z nim układ.

- Układ?

Chris kiwnął głową.

- Właśnie tak. Pozwoliłem mu tutaj zostać pod warunkiem, że stworzy ograniczoną wersję samego siebie, która będzie obsługiwać nasze urządzenia.

- A on się na to zgodził? - spytała Gail z niedowierzaniem.

- Hej, to naprawdę niezły układ - odparł Chris z uśmiechem. - Fred dostał bezpieczne miejsce, w którym może przechować swój kod. Wieczorami ma dostęp do wszystkich wolnych urządzeń w firmie, ale najważniejsze jest to, że nie musi pracować dla WWD.

- Zajeździłoby go - stwierdziła Gail i zadrżała od zimna, które spłynęło po jej kręgosłupie.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Chrisa.

- Właśnie - przyznał. - Fred nie znosi dla nich pracować. To zmienia trochę postać rzeczy, prawda?

Gail z westchnieniem pokiwała głową.

- Jednak gdybyśmy go pokonali, to byłoby coś - powiedziała.

- Jeszcze z nim nie skończyłem - odparł tajemniczo Chris.

- Powiedz mi więcej - poprosiła.

- Wiemy, skąd pochodzi. Teraz musimy tylko wyszukać parę baz danych w WWD. W końcu dowiemy się, kto napisał kod, przestudiujemy zapis i poznamy logikę programistów Wydziału. A wtedy załatwienie Freda będzie tylko kwestią czasu. Zrobimy to!

Gail popatrzyła na niego wielkimi oczami, z niepewnym uśmiechem na twarzy.

- My? - spytała.

Chrisa ogarnęły dziwne uczucia, które płynnie przeszły w niezręczne zakłopotanie. Całe życie spędził z nosem utkwionym w mikrochipach i plikach źródłowych. Czy Gail mogła się nim interesować tak bardzo, jak on nią?

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołał Chris.

Bob wetknął głowę przez drzwi i uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafił.

- Do końca tygodnia masz mi oddać swój IPR - powiedział.

- Tak, szefie. Do końca tygodnia - potwierdził Chris.

Drzwi zamknęły się z głośnym trzaśnięciem zamka, a Chris odwrócił się w stronę Gail. Dziewczyna siedziała cicho, jakby nie pewna co zrobić dalej. Była już prawie pora lunchu. Chris zaczerpnął powietrza i postanowił pójść na żywioł.

- Miałabyś ochotę na obiad u Jacka? - spytał.

Gail uśmiechnęła się.

- Jasne! - odparła. - Uwielbiam włoskie knajpki.

Przełożyła Joanna Grabarek

[\[1\]](#) S p a m e r z y - ludzie zajmujący się spamowaniem, czyli nachalnym wysyłaniem reklam do wszystkich możliwych miejsc (przyp. tł.)